

NR INDEKSU 374776
PL. ISSN 0137-8287

rodzina

NR 4
(1699)
2005

MIESIĘCZNIK KATOLICKI • KWIECIEŃ • CENA 2 ZŁ



Początki Kościoła

Wniebowstąpienie Jezusa (Mk 16, 19; Lk 2, 51; Dz 1, 9), oraz zstąpienie Ducha Świętego na Apostołów zebranych w wieczerniku w Jerozolimie, zapoczątkowały intensywny rozwój Kościoła.

Pierwsze gminy chrześcijańskie umacniały się i pozyskiwały nowych wyznawców dzięki życiu nauką Apostołów, wspólnocie, wzajemnej trosce oraz sakramentom i modlitwie. „Trwali oni w nauce Apostołów i we wspólnocie, w łamaniu chleba i w modlitwie. Bojaźń ogarniała każdego, gdyż Apostołowie czynili wiele znaków i cudów. Ci wszyscy, co uwierzyli, przebywali razem i wszystko mieli wspólne. Sprzedawali majątki i dobra i rozdzielali je każdemu według potrzeby. Codziennie trwali jednomyślnie w świątyni, a łamiąc chleb po domach, przyjmowali posiłek z radością i prostotą serca. Wielbili Boga, a cały lud odnosił się do nich życzliwie. Pan zaś przymnażał im codziennie tych, którzy dostępowali zbawienia” (Dz 2, 42-47).

Początkowo chrześcijaństwo rozwijało się wśród Żydów na terenie Palestyny. Dlatego jego pierw-

szych wyznawców nazywa się judeo-chrześcijanami. Kiedy w r. 41 Herod Agryppa I (zm. 44 r.) został władcą na całym obszarze dawnego królestwa Heroda Wielkiego, zaczął prześladować Kościół. Posiadając uprawnienia prokuratorów rzymskich, m.in. uwięził i skazał na śmierć Jakuba Starszego Apostoła, który stał na czele gminy w Jerozolimie. „W tym także czasie Herod zaczął prześladować niektórych członków Kościoła. Ściął mieczem Jakuba, brata Jana, a gdy spostrzegł, że to spodobało się Żydom, uwięził nadto Piotra. A były to dni Przaśników. Kiedy go pojmał, osadził w więzieniu i oddał pod straż czterech oddziałów, po czterech żołnierzy każdy, zamierzając po Świącie Paschy wydać go ludowi” (Dz 12, 1-4).

Uczniowie Jezusa opuszczali Jerozolimę, udając się do miejsc, w których istniały gminy żydowskie,

Kwiecień 1943 r.

„Przez otwór widzieliśmy getto w płomieniach, zupełnie pochłonięte przez płomień”

Po nazistowskim najeździe na Polskę we wrześniu 1939 r. ponad 450 000 Żydów z Warszawy i jej okolic zostało zmuszonych do przebywania w dzielnicy żydowskiej. Zamknięci w getcie przebywali w okropnych warunkach; do lipca 1942 roku z powodu chorób, zimna i głodu umarło tam prawie 100 000 ludzi. Latem 1942 roku Niemcy rozpoczęli wywożenie Żydów do obozów zagłady. Deportowano ok. 300 000 osób, z czego 265 000 trafiło do obozu śmierci w Treblince. W tej sytuacji, pomimo braku żywności i broni, Żydzi nie mieli innego wyjścia, jak tylko zdecydować się na walkę z Niemcami.

Powstanie w getcie warszawskim było pierwszą miejską insurrekcją w okupowanej przez nazistów Europie. Żydowski opór — sposób na godne umieranie — wybuchł 19 kwietnia 1943 roku — w wigilię żydowskiego święta Pes-

sah. Pomimo przytłaczającej przewagi nazistów, walka trwała prawie cztery tygodnie. W końcu ponad 200 bojowników — wraz z dziesiątkami tysięcy mieszkańców getta — zostało zabitych. Naziści, po wejściu do getta, systematycznie palili i burzyli domy dzielnicy żydowskiej. Zniszczyli wszystko, został tylko gruz. Los chciał jednak, że kilkudziesięciu Żydów ukryło się w bunkrach.

W jednym z takich bunkrów ukrywała się młoda Żydówka, która nawet w tych tak tragicznych chwilach nie zrezygnowała z pisania pamiętnika. Ostatnie dni powstania w warszawskim getcie utrwaliła na sześciu stronach niedokończonego, niestety, pamiętnika. Na tych kilku kartkach opisała ostatnie, piekielne dni (kwiecień/maj 1943 r.) powstania przeciw nazistom. Pamiętnik jest świadectwem tamtych wydarzeń.



Madonna Krumłowska (1400-1410)

Z polskiej modlitwy poetyckiej

Dłonie najcichsze

*Dłonie — obłoki utulone,
dłonie skupione i łagodne —*

*Położ nad miasto zachmurzone
tam, gdzie się mosty cicho świecą,
Twoje spokojne dłonie chłodne,
jak tulipanów płatki lekko.*

*Dłonie łagodne, wierne w męstwie,
dłonie najczystsze,
dłonie człowiecze, a błękitne,
dłonie zwyczajne.*

*Położ i dotknij czoł i twarzy,
spalonych jadem dotknij ust,
niech się kroplami w nich rozjarzy
światło, jak lekki deszcz na liściach
młodziutkich brzoź.*

*O dźwigające dłonie srebrne,
spokojne w ciemnych wichrach lat,
i sphywające niespodzianie,
i czuwające tak bezwiednie,
jak pochylony roś kwiat.*

*Dłonie dziewczęce, a matczyne,
dłonie przedziwne,
położ nad mosty zatopione
Twoje pokorne, smutne dłonie,
dłonie dziecinne —*

*rozdzierające dno ciemności,
w miłość i moc, i błyskawice —*

*dłonie dalekie, dłonie bliskie,
dłonie najcichsze.*

Bohdan Ostromięcki (ur. 1911):
„Z głębokości...” (Antologia)

np. do Damaszku, Antiochii, Aleksandrii. Postugując się językiem greckim, powszechnie używanym na terenie całego imperium, nieśli Dobrą Nowinę na krańce ówczesnego świata. Pod koniec lat czterdziestych największe centrum chrześcijaństwa znajdowało się w Antiochii, gdzie po raz pierwszy uczniów Jezusa nazwano chrześcijanami. Określenie to zastosowali ok. 50 r. po Chr., rzymscy urzędnicy w Antiochii Syryjskiej. Natomiast sami chrześcijanie określali się jako uczniowie, bracia lub święci. „W Antiochii też po raz pierwszy nazwano uczniów chrześcijanami. W tym czasie właśnie przybyli z Jerozolimy do Antiochii prorocy. Jeden z nich, imieniem Agabos, przepowiedział z natchnienia Ducha, że na całej ziemi nastanie wielki głód. Nastąpił on za Klaudiusza. Uczniowie postanowili więc, że każdy według możliwości pośpieszy z pomocą braciom, mieszkającym w Judei” (Dz 11, 26b-29).

Wprawdzie to św. Piotr ochrzcił pierwszego poganina, Korneliusza z Cezarei Nadmorskiej (Dz 10, 25-26. 34-35, 44-48), jednak dopiero św. Paweł — były faryzeusz i zacie-

ły prześladowca chrześcijan — stał się Apostołem Narodów. Podczas jego pierwszej wyprawy misyjnej w Azji Mniejszej powstał spór na temat warunków przynależności pogan do Kościoła. Roztrzygnęli go Apostołowie podczas tzw. Soboru Jerozolimskiego (Dz 15), który odbył się w 49/50 r., ogłaszając zwolnienie chrześcijan od zachowywania Prawa Mojżeszowego i obowiązku obrzezania. Powstały wówczas także tzw. klauzule Jakubowe, nakazujące im jedynie powstrzymanie się od spożywania pewnych pokarmów, uznawanych za nieczyste. „A gdy i oni umilkli, zabrał głos Jakub i rzekł: „Postuchajcie mnie, bracia! Szymon opowiedział, jak Bóg raczył wybrać sobie lud spośród pogan. Zgadzą się z tym słowa Proroków, bo napisano: Potem powrócę i odbuduję przybytek Dawida, który znajduje się w upadku. Odbuduję jego ruiny i wzniosę go, aby pozostali ludzie szukali Pana i wszystkie narody, nad którymi wzywane jest imię moje — mówi Pan, który to sprawia. To są [Jego] odwieczne wyroki. Dlatego ja sądzę, że nie należy nakładać ciężarów na pogan, nawracających się do Boga, lecz napisać im, aby się wstrzymali od pokarmów ofia-

rowanych bożkom, od nierządu, od tego, co uduszone, i od krwi. Z dawien dawna bowiem w każdym mieście są ludzie, którzy co szabat czytają Mojżesza i wykładają go w synagogach” (Dz 15, 13-21).

Kolejne dwie wyprawy misyjne św. Pawła wprowadziły chrześcijaństwo na teren Europy. Nie wiadomo dokładnie, w jaki sposób chrześcijaństwo dotarło do Rzymu, choć zapewne pomogły w tym dobre drogi w imperium, a także diaspora żydowska. Kościół w Rzymie rozwijał się szybko. Niedługo później cesarz Klaudiusz (41-54 r.) wydał dekret, na mocy którego Żydzi, a wraz z nimi i judeo-chrześcijanie, m.in. Akwila i Pryscylla, współpracownicy Pawła, zostali wypędzeni z Rzymu. Odtąd chrześcijanie zaczęli się ukrywać, spotykając się w katakumbach. Kolejne prześladowania rozpoczęły się w 64 r. za cesarza Nerona. W tym czasie zginęli św. Piotr (65 r.) oraz św. Paweł (67 r.). Jednak im bardziej prześladowano chrześcijan, tym szybciej wzrastała ich liczba i umacniała się wiara Kościoła; do IV wieku, za panowania Nerona, Domicjana, Trajana, Marka Aureliusza, Decjusza, Dioklecjana, chrześcijaństwo przyjęła niemal połowa mieszkańców cesarstwa.

Autorka — najprawdopodobniej zginęła podczas nazistowskiego burzenia getta — rozpoczęła pisanie pamiętnika w dniu 24 kwietnia 1943 roku — pięć dni po rozpoczęciu powstania — i kontynuowała przez 10 dni. Jej zapiski są wstrząsającym opisem tragicznego losu grupy nieuzbrojonych ludzi, młodych i starych, którzy pełni lęku chowają się w ciasnym bunkrze, choćkowie świadomi śmierci, która nieuchronnie ich czeka. Na zewnątrz dobrze uzbrojeni naziści, a oni siedzą stłoczeni w przepelnionym bunkrze, do którego wciąż chcą się skryć kolejni ludzie, chociaż brakuje jedzenia i wody, a szaleją choroby i nękają wszy. Nie wiadomo, czy ludzie z bunkra zostali schwytani przez Niemców i zabici, czy też zostali spaleni podczas nazistowskiego burzenia getta. Jednak pamiętnik przetrwał i po latach został odkryty (wśród innych dokumentów archiwalnych z getta warszawskiego) w Domu Bojowników Getta w Kibucu Lohamei Hagetaot w Izraelu.

„Ukryliśmy się w bunkrze” — tak rozpoczyna młoda żydowska dziewczyna swój pamiętnik. Jest 24 kwietnia, szósty dzień ukrycia się w bunkrze. Tej nocy, około godziny 20 — zapisała autorka — usłyszeliśmy jakieś dźwięki, uderzenia w

tajne wejście do bunkra. Natychmiast zamarty wszelkie rozmowy; odetchnęliśmy z ulgą, gdy okazało się, że to tylko sąsiedzi informowali nas, że płonie także nasz dom. „Przez otwór widzieliśmy getto w płomieniach, zupełnie pochłonięte przez płomień”. Niemcy do godz. 2 w nocy podkładali ogień pod kolejne domy.

Następny zapis jest z 26 kwietnia. Autorka pisze o sąsiednim domu, w którym chowali się Żydzi i zginęli w płomieniach. „Wydaje się, że także i nasz koniec szybko nadchodzi”. „W bunkrze jesteśmy bardzo stłoczeni z powodu ogromnej liczby ludzi, a jeszcze więcej osób chce się skryć. Ludzie pukają, by wejść. Każdy chce wejść. Ciężko jest pozwolić [każdemu] wejść”. „Chciałabym pójść do mojego brata, który jest w innym bunkrze, na drugim dziedzińcu, ale to jest zbyt daleko i zbyt niebezpiecznie”. „Powietrze w bunkrze jest okropne. Ludzie dławią się i duszą. Wielu traci przytomność (...). W takich warunkach sen jest niemożliwy, grozi niebezpieczeństwem uduszenia się”.

W dziewiątym dniu pobytu w bunkrze zaczyna brakować jedzenia, ponieważ ludzie, którzy przybywają nie przynoszą ze sobą jedzenia. W tej sytuacji zapada decyzja: każdy z nas może dostać

tylko miskę zupy i filiżankę kawy dziennie. Tego dnia, wieczorem, słyszą eksplozję granatu w pobliżu bunkra. „Nagle straszny wybuch. Granat ręczny eksploduje w pobliżu. Głęboka cisza napełnia pomieszczenie. Wróg otacza dom, szukają nas. A naszą jedyną obroną jest kompletna, ale to zupełna cisza”.

Zapis z 28 kwietnia: „To jest nasz 10 dzień w bunkrze. Dziesięć dni walki z krwiożerczym wrogiem, który chce nas zupełnie zniszczyć. On zaczął tę walkę uzbrojony w granaty i czołgi, a kończy ją, niszcząc i paląc nasze domy. Musimy przeżyć i mamy nadzieję, że przeżyjemy. Walczymy o sprawiedliwość i prawo, by żyć (...)”.

Nazajutrz autorka rozważa możliwość ucieczki z getta. „Wydaje się, że budzimy się z głębokiego snu. Zaczynamy myśleć o ucieczce na aryjską stronę. Ktokolwiek ma szansę, zaczyna się przygotowywać. To jest realna myśl, ale realizacja nie jest w zasięgu każdego”. „W naszym bunkrze nie będziemy mogli długo przeżyć. Powietrze jest straszne, nękają nas wszy i ogromne przepełnienie. Co możemy w tej sytuacji zrobić? Wyjść, ryzykując własnym życiem, albo

Ostatnia droga Śp. Ks. Waldemara Telejki

tutaj umrzeć. Ktokolwiek ma szansę, komukolwiek odwaga na to pozwala, musi tak zrobić. Jednakże trzeba jeszcze poczekać kilka dni. Jeśli wróg przerwie swe działania przeciw nam, wtedy szansa na ucieczkę będzie większa i to jest właśnie to, na co czekamy”.

30 kwietnia autorka pisze: „Wróg szuka nas na górze”. „Nagle ogromna eksplozja, ściany trzęsą się, każdy skacze z łózka, ale nic się nie zdarzyło”. „Granaty wybuchają w domu. Ludzie wewnątrz zachowują się dzielnie. W kompletnej ciszy spoglądają śmierci w oczy”. „Niemcy roztrzelują każdego Żyda, którego znajdą”. „Wyobrażam sobie czasem, że nasz bunkier jest niespokojnym statkiem. Jesteśmy odcięci od świata, zupełnie bez nadziei, samotni, wspiera nas jedynie własna siła. Nie mówimy o ratunku. Z wielkim wysiłkiem wciąż się trzymamy (...), ale trudno powiedzieć prawdę, że jesteśmy jak mała łódź, bez nadziei ratunku (...). Sama jestem zaskoczona, że w tych warunkach zdołaliśmy przeżyć trzy tygodnie”.

Kiedy autorka pisała te słowa, granat rzucony przez nazistów eksplodował blisko ich bunkra.

„Wychodzę na ulicę, dookoła mnie wszystko płonie (...), fabryki, mieszkania, sklepy, domy. Całe getto jest niczym morze płomieni (...) ogień rozpościera się tak szybko, że ludzie nie mają czasu, by uciec i giną tragicznie”. „Z powodu tego ognia, panika na drodze. Nie ma żadnego ratunku. Ludzie nie wiedzą, gdzie się schować. Z desperacją szukają pomocy, ale nie ma już żadnego ratunku. Nigdzie nie można się ukryć. Wszędzie panuje śmierć. Mury getta są otoczone. Nie ma możliwości wejścia, ani wyjścia”. „Domy i bunkry — w płomieniach. Ludzie dławią się z powodu dymu, proszą o pomoc. Wielu — prawie wszyscy — krzyczą do Boga. *Boże, okaż swoją siłę i miej dla nas litość.* Bóg milczy jak sfinks i nie odpowiada. A ty, narodzi, dlaczego ty milczysz? Wydaje się, że nastał koniec świata. Piekło przyszło na ziemię. *Piekło Dantego.* To jest nieprawdopodobne i nie do opisanie (...). Wróg kontynuuje swe zniszczenie. Nowy dzień się zaczyna. Z nowym dniem, cisza śmierci zwycięża”.

W dniu 18 lutego zmarł ksiądz Waldemar Telejko. Jego długoletnia walka z chorobą i cierpieniem zakończyła się w zimowy poranek, gdy opatrzony Świętymi Olejami, w swoim mieszkaniu zasnął w Panu. Przeżył 62 lata, z tego 41 lat służąc jako kapłan Kościołowi Polskokatolickiemu w Polsce i Polskiemu Narodowemu Kościołowi Katolickiemu w Stanach Zjednoczonych. Od kilku lat, po powrocie do Polski, mieszkał w Lublinie.

Uroczystości pogrzebowe rozpoczęły się 21 lutego, w samo południe, liturgią Mszy św., w parafii pw. Matki Bożej Wniebowziętej w Lublinie. W świątyni, obok licznie zgromadzonego duchowieństwa Ziemi Lubelskiej, obecna była najbliższa rodzina Zmarłego i przyjaciele. Mszę św. w intencji śp. Ks. Waldemara koncelebrowali: miejscowy proboszcz — ks. Andrzej Gontarek, ks. senior Jan Materek i dziekan Dekanatu Lubelsko-Chełmskiego ks. Ryszard Walczyński.

Żyje są w naszej pamięci wspomnienia z maja ubiegłego roku, kiedy Ks. Waldemar obchodził jubileusz 40-lecia pracy kapłańskiej. Nawiązał do tego radosnego wydarzenia kaznodzieja — ks. Kazimierz Stachniak, który w swojej egzorcie starał się ukazać najpiękniejsze cechy w życiu Zmarłego Kapłana.

Do Stołu Pańskiego przystąpiło wielu uczestników żałobnej liturgii, podkreślając tym samym swoją wiarę w Świętych obcowanie.

Druga część uroczystości pogrzebowych miała miejsce w rodzinnej miejscowości Zmarłego Kapłana — w Tarnogórze, koło Zamościa. Od szkoły podstawowej w Tarnogórze uformował się orszak pogrzebowy, któremu przewodził dziekan Dekanatu Zamojskiego — ks. dr Mieczysław Piątek.

Przy grobie, pożegnał Zmarłego — w imieniu Zwierzchnika Kościoła Polskokatolickiego ks. bpa prof. Wiktora Wysoczańskiego i kapłanów — ks. senior Jan Materek. W swoim przemówieniu podkreślił zasługi Zmarłego w pracy dla Kościoła w Polsce i USA. Przekazał także słowa współczucia od kapłanów pracujących w Polskim Narodowym Kościele Katolickim w Stanach Zjednoczonych, wśród których Zmarły wiele lat pracował. Ks. Materek, w imieniu Zwierzchnika Kościoła i obecnych kapłanów, zapewnił o modlitwach, które będziemy kierować do naszego najlepszego Ojca w intencji śp. Księdza Waldemara.

W ciszy i zadumie opuszczaliśmy cmentarz parafialny w Tarnogórze. Warto podkreślić ekumeniczny wymiar żałobnych ceremonii, bo nie często się zdarza, by w uroczystościach pogrzebowych uczestnił ksiądz rzymskokatolicki.

Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki.

Ks. Jan Materek



Msza św. żałobna w Lublinie. Modlitwa przy katafalku

Radość w parafii Wniebowstąpienia Pańskiego w Krakowie

Chrzest Aleksandry Agnieszki i Jakuba Karola

W dniu 2 stycznia 2005 r. wspólnota parafialna Wniebowstąpienia Pańskiego powiększyła się. Gdy patrzymy na Aleksandrę i Jakuba, trochę uśmiechniętych, trochę zaleknionych tą sytuacją, uświadamiamy sobie, jak bardzo jesteśmy narzędziami w ręku Boga. Wszyscy, Rodzice, Chrzestni i cała nasza wspólnota. Bóg pragnie dobra dla tych dzieci i my go pragniemy. Najmłodszy członek wspólnoty naszego Kościoła, chociaż sami o tym nie wiedzą, są wielką nadzieją na przyszłość, gdy nas, starych parafian, może już nie będzie. Ale też przypomnieniem wielkich prawd naszej wiary.

Chrzest stał się sakramentem z ustanowienia zmartwychwstałego Pana: *Dana Mi jest wszelka władza w niebie i na ziemi. Idźcie więc i nauczajcie wszystkie narody, udzielając im chrztu w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.* Pan powiada: *A oto Ja jestem z wami przez wszystkie dni, aż do skończenia świata.*

Właśnie, tak często zapominamy, że Chrystus jest tu, na ziemi, razem z nami, jest w swoim Kościele. Ci, którzy przyjmują chrzest zostają włączeni do wspólnoty, która trwa wiecznie. Przez chrzest w imię Boga Trójjedynego stajemy się Jego własnością. W imieniu wypowiedzanym nad ochrzczonego jest obecny sam Chrystus ze swoim dziełem zbawienia.

Chrzest jako niezmywalny znak przynależności do Chrystusa powinien zawierać następujące trzy momenty. Materią chrztu świętego jest woda, a sam akt dokonuje się przez zanurzenie, polanie, bądź w szczególnych przypadkach pokropienie. Formę tego sakramentu stanowi proklamacja: *Ja ciebie chrzczę w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.*

Pan sięgnął po znaki podpadające pod nasze zmysły, by dać nam pewność, że przeżywamy spotkanie z nim. Są to znaki niezawodnie skuteczne, jeśli tylko spełnimy postawione przez Boga warunki.

W Starym Testamencie napotykamy na cały szereg wydarzeń zapowiadających ustanowienie sakramentu chrztu świętego. Wody potopu wykorzystane zostały do zmycia grzechu, który rozpanoszył się na ziemi, aby sprawiedliwi mogli rozpocząć nowe życie. Przypomnijmy sobie przejście Izraelitów przez Morze Czerwone. To woda otwiera drogę do Ziemi Obiecanej. Woda daje wolność narodowi wybranemu przez Boga.

zdrowie. Znak od Boga. W Jordanie nie ma cudownej wody. Wszystko jest tu znakiem. To Bóg oczyszcza Naama. Woda. Trąd ciała. Bóg mówi nam: jeśli dokładnie wypełnicie moje polecenia, Ja sam będę obecny w tym obrzędzie, dotknę i oczyszczę.

Symboliczne zanurzenie w wodzie symbolizuje śmierć dawnego człowieka i narodzenie nowego, wolnego od zmyślenia grzechu pierworodnego. Jest to znak niezniszczalnej przynależności do Chrystusa. Wraz z nim dane

cd. na str. 6

Ks. inf. Czesław Siepetowski odprawia Mszę św.



Chrzest Jakuba Karola (na zdjęciu — z mamą i rodzicami chrzestnymi)



nam jest powszechne kapłaństwo.

Na rodzicach i chrześniach spoczywać odtąd będzie obowiązek, z którego nikt i nic ich nie uwolni. W tym akcie biorą na siebie wielką odpowiedzialność za przygotowanie dziecka do życia w zgodzie z nauką Chrystusa.

W chrzcie świętym każdy z nas otrzymał godność dziecka Bożego. Bóg, wyznając nam swoją miłość, adoptuje nas. To trzeba mocno zaakcentować, każdy z nas może o sobie powiedzieć: Jestem kochany przez samego Boga. We mnie, w moim sercu, jest miłość dana mi od Boga i tylko ode mnie zależy, bym jej nie utracił. Wraz ze świadomością

godności dziecka Bożego pojawia się potężna moc, która pozwala przeciwstawić się grzechowi. Bezpośrednio po chrzcie czoło dziecka namaszczone zostaje Krzyżmem, czyli konsekrowaną oliwą. Przez namaszczenie Bóg mówi do nas: to dziecko jest moją własnością. Ten znak krzyża świętego uczyniony nowo ochrzczoneму na czoło ma nam przypominać, iż na duszy dziecka wyciśnięte zostało nieusuwalne znamię.

To znamię dla zbawionych będzie powodem do chwały, dla potępionych — źródłem dodatkowych cierpień i wstydu. Biała Szata. Znak radości i symbol czystości. To szata godowa — o której Chrystus mówi w przypowieści.

Świeca zapalona od Paschału. Symbol wiary. To światło winno nam towarzyszyć przez całe nasze życie, we wszystkich wielkich momentach od narodzin po śmierć. To światło oświecili nam drogę, gdy będziemy piąć się wąską ścieżyną na spotkanie z Panem oczekującym nas w bramie.

Dziś, gdy ta łaska spoczęła na przybyłych do świątyni parafii pw. Wniebowstąpienia Pańskiego Aleksandrze Agnieszce i Jakubie Karolu widać było dumę w oczach starszych braci i sióstr, i wielkie przeżycie tej uroczystości przez rodzinę i zgromadzonych w świątyni.

Kronikarz parafialny

Wspomnienie dnia Wszystkich Świętych

Wierzę
w Twoje
Zmartwychwstanie



Zapalenie zniczy na Cmentarzu Nieistniejących Cmentarzy w Gdańsku

W dniu 1 listopada 2004 r. z inicjatywy prezydenta Pawła Adamowicza na Cmentarzu Nieistniejących Cmentarzy odbyła się uroczystość zapalenia świec i zniczy, symbolizujących naszą pamięć o tych wszystkich zmarłych mieszkańcach Gdańska, których grobów w naszym mieście już nie ma.

Cmentarz znajduje się obok polskokatolickiego kościoła pw. Bożego Ciała (gdzie proboszczem jest ks. Rafał Michalak), przy ul. 3 Maja. Wśród zaproszonych gości znaleźli się: metropolita gdański arcybiskup Tadeusz Gocłowski, Gerhard Olter, reprezentujący mniejszość niemiecką, Jakub Szadaj, reprezentujący mniejszość żydowską i Selim Chazbijewicz,

przedstawiciel mniejszości tatarskiej oraz reprezentanci Kościołów zrzeszonych w Gdańskim oddziale PRE. Na uroczystości obecni byli także gdańszczanie, którzy nie wiedzą, gdzie spoczywają ich przodkowie. Wszyscy, którzy przybyli na Cmentarz Nieistniejących Cmentarzy wspólnie modlili się za dusze zmarłych pozbawionych swoich mogił.

Warto podkreślić, że podobne obchody odbyły się na tym wyjątkowym miejscu już po raz trzeci, gdyż cmentarz został otwarty w pierwszym dniu I Światowego Zjazdu Gdańszczan, 24 maja 2002 roku i upamiętnia 27 gdańskich nekropolii, które zostały zlikwidowane po 1945 r.

Tragiczne dzieje gdańskich cmentarzy po II wojnie światowej znalazły

odzwierciedlenie w napisie okalającym grobowiec, stanowiącym centralne miejsce Cmentarza Nieistniejących Cmentarzy. Są tam słowa poetki Maszy Kaleko: „Tym, co imion nie mają na grobie, a tylko Bóg wie, jak kto się zowie”.

Zgromadzeni przeszli później pod pomnik ofiar epidemii tyfusu w gdańskim areszcie (teren „Twierdzy Gdańsk” vis a vis Szpitala Kolejowego), gdzie pochowanych jest około 1100 więźniów, Niemców, Polaków i Kaszubów oraz innych narodowości, zmarłych od kwietnia 1945 do kwietnia 1946 na tyfus w więzieniu przy ulicy Kurkowej.

Procesja „Correr a Cristo”

Tradycja procesji „Z Chrystusem przeciw przemocy” związana jest z niedzielą przewodnią, pierwszą niedzielą po Wielkanocy, i ma miejsce w Chile.

Tego dnia w wielu miastach i wsiach w Chile odbywają się procesje, zwane „Correr a Cristo” — „Z Chrystusem przeciw przemocy”. Zwyczaj ten pochodzi z początków XIX w., i do dziś jest wciąż żywy, spontanicznie przestrzegany i praktykowany z potrzeby płynącej z głębi serca. Stanowi on autentyczną chęć zaprezentowania pobożności, waleczności i silnych więzi społecznych danej miejscowości. Aby dobrze zrozumieć znaczenie tego symbolicznego pochodu, trzeba przypomnieć pewne wydarzenie z historii Chile.

W roku 1821 Chile wyrwało się spod władzy Hiszpanii i szybciej niż inne kraje Ameryki Południowej stało się państwem niepodległym. Nie stało się to jednak w sposób pokojowy i bezkrwawy. W młodym państwie Chilijskim nie było spokoju, często wybuchały rozmaite niepokoje społeczne, szpiechy hiszpańscy podburzali wieśniaków, organizowali zbrojne bandy, które — rozruchwalone — rosły w siłę i stanowiły nie lada problem dla wojsk rządowych. Młodej władzy republikańskiej udawało się przy pomocy swych sił porządkowych utrzymać jakoś porządek w miastach, na wsi jednak panował chaos i bezprawie. Do wielu okolic na prowincji oddziały rządowe w ogóle nie docierały. Prowincja terroryzowana była przez bandy zbójców i ludzi wyjętych spod prawa. Mieszkańcy wiosek najbardziej obawiali się rozbójników herszta Neiry, napadających na wsie i podróżnych na drogach. Obawiali się także braci Pincheira, którzy grasowali na południu kraju, niemal bezkarnie. Te postacie i wiele im podobnych przetrwały do dnia dzisiejszego w pieśniach, balladach i legendach. Trzeba dodać, że dla zbójców nie było świętości — napadali zarówno na wieśniaków, podróżnych, jak i na duchownych, na osady i na kościoły, plebanie katolickie. Ich łupem padały zarówno chłopskie niewielkie oszczędności, jak i złote kielichy mszalne, zarobki kupców i datki wiernych, zapasy żywności i drogie ornaty, które następnie stawały się derkami końskimi.

Zarówno wieśniacy, jak i duchowni — jednakowo krzywdzeni i terroryzowani — nie mogli dłużej

znosić rozbójników. Zjednoczyli się więc, słusznie uznając, iż w jednośi siła i że razem łatwiej będzie obronić się przed napaściami. W ten sposób powstała straż zbrojnych jeźdźców — zwana *huasos* — broniących wiosek i kościołów, eskortujących księży podczas ich przejazdów do wiernych. Od nich właśnie, od *huasos*, wywodzi się tradycja dorocznego pochodu — czyli procesji „Correr a Cristo”. W każdej miejscowości, gdzie ma się odbyć procesja, powstaje komitet organizacyjny, zajmujący się planowaniem i organizacją uroczystości, zbieraniem funduszy na jej realizację, doбором uczestników — co jest nie byle wyróżnieniem — i dekoracjami.

Dawniej w procesji uczestniczyli *huasos* odświętnie ubrani w stroje wzorowane na strojach jeźdźców andaluzyjskich, na najlepszych koniach, księża i akolici w powozach oraz licznie zgromadzeni mieszkańcy okolicznych wiosek i osad. Księża błogostawili zebranych przy drodze wieśniaków, a jadący na czele z wielkim krzyżem w ręku dowódca oddziału wzywał — jak każe tradycja — ukrywających się bandytów, by opuścili swoje kryjówki i powrócili na drogę cnoty, uczciwości i prawa. Z biegiem lat, w procesji mogli brać udział tylko właściciele ziemscy, których stać było na wspaniałego wierzchowca, piękny strój, bogatą uprząż końską, i którzy mogli posiadać broń. Uboższym pozostawało tylko przyglądać się lub gonić jeźdźców pieszo.

W miarę upływu lat obyczaje uległy zmianie. O ile dawniej w powozach jadących za konnymi *huasos* mogli jechać tylko księża i akolici, to później mogły jechać także kobiety i dzieci. Obecnie zdarzają się coraz częściej bardziej współczesni *huasos*, dosiadający rowerów. Jednakże wciąż jest taka sama, jak dawniej, świąteczna atmosfera. Jak dawniej unosi się nad procesją dźwięk hymnów kościelnych, na trasie przejazdu udekorowane są pięknie domy. Także powozy, konni i konie pięknie są przystrojone. Wciąż są takie same krzyże, proporce, chorągwie i święte obrazy w rękach uczestników procesji. Prowadzący pochód jeździec, wymachując drewnianym mieczem i pędząc galopem, wzywa nieistniejących rozbójników do ujawnienia się i podjęcia uczciwego życia — by, po chwili, znów statecznie podążać przed powozami wyznaczoną trasą. A wszystko to, by iść z Chrystusem przeciw przemocy.

Jubileusze Święceń Kapłańskich w 2005 r.



57 lat kapłaństwa (1948)

ks. Franciszek Rygusik
ks. Roman Marszałek

48 lat kapłaństwa (1957)

ks. Stanisław Muchewicz
ks. Jan Wąsik

45 lat kapłaństwa (1960)

ks. inf. Aleksander Bielec
ks. inf. Ryszard Dąbrowski

40 lat kapłaństwa (1965)

ks. Marian Kowalczyk

35 lat kapłaństwa (1970)

ks. Józef Bryza
ks. Daniel Olesiński

30 lat kapłaństwa (1975)

ks. Zbigniew Bonkowski
ks. Antoni Norman
ks. Piotr Strojny

25 lat kapłaństwa (1980)

ks. Krzysztof Groszak
ks. Jan Belniak
ks. Dominik Gzielo
ks. Zdzisław Jankowski
ks. Henryk Nowacki
ks. Mieczysław Piątek
ks. Jerzy Uchman

20 lat kapłaństwa (1985)

ks. Leszek Kołodziejczyk

Wszystkim jubilatom J.E. ks. bp Wiktor Wysoczański — Zwierzchnik Kościoła Polkokatolickiego w RP przesyła osobiste życzenia w Wielki Czwartek — Triduum Paschalnego, w Dzień ustanowienia Sakramentu Kapłaństwa przez Chrystusa Pana.

„Kto czci ojca, uzyskuje odpuszczenie grzechów,
a kto szanuje matkę, jakby skarby zgromadził”

(Syr 3, 3-4)

Rodzinne spotkanie z Bogiem

Jeszcze tak niedawno przeżywalimy Święta Wielkanocne, poprzedzone, jak zwykle, niezbędnymi przygotowaniem, porządkami. Staraliśmy się, w miarę możliwości (często bardzo skromnych), aby oprawa świątecznych przeżyć była godna, aby także nasze domy, mieszkania świadczyły swoim wystrojem i atmosferą o naszym zaangażowaniu i naszej postawie wewnętrznej — katolickiej.

Oczywiście, oprawa zewnętrzna ma zawsze charakter drugoplanowy, liczy się bowiem przygotowanie duchowe, wewnętrzna przemiana, która dokonuje się przez modlitewne zaangażowanie — udział w nabożeństwach pasyjnych, rekolekcjach, przestrzeganiu postu. Trud ten zwieńczony zostaje bezpośrednim aktem naszej skruchy, świąteczną spowiedzią świętą i Komunią.

Te wszystkie działania razem wzięte sprawiają, że czczenie pamiętki Męki i Zmartwychwstania Jezusa jest przejawem żywej wiary. Ma to również szczególne znaczenie w aspekcie rodzinnym, bo przecież każde święta chrześcijańskie, oprócz wymiaru teologicznego, liturgicznego mają wymiar rodzinny.

Wprawdzie Święta Wielkanocne w tym względzie nie są aż tak wymowne, jak Święta Bożego Narodzenia, gdy uroczyste obchodzimy pamiętkę narodzin Syna Bożego w Rodzinie Nazaretańskiej, to jednak są również wspaniałą okazją do rodzinnych spotkań. Te spotkania nabierają coraz większego znaczenia. Zmieniające się bowiem od wielu już lat warunki gospodarcze, społeczne mają istotny wpływ na życie rodzinne. Migracje ludności spowodowane chęcią zdobycia wykształcenia, poszukiwaniem pracy — oczywiście, jak najbardziej uzasadnione — zacierają jednak obraz rodziny wielopokoleniowej. Rodziny, w której wszyscy, na co dzień, uczyli się siebie nawzajem, a nade wszystko szacunku do rodziców i dziadków, wrażliwości wobec star-

szego człowieka, rozumienia jego potrzeb. I odwrotnie człowiek starszy — babcia, dziadek, mając kontakt na co dzień z wnukami, łatwiej dostrzega zmieniającą się rzeczywistość, łatwiej mu zrozumieć i kształtować ich zachowanie.

Dziś regułą stają się duże odległości miejsc zamieszkiwania członków rodzin, nawet tych najbliższych. Dlatego tak ważne są rodzinne odniesienia, a świąteczne spotkania mają za cel odradzanie więzi rodzinnych, które ze wspomnianych powodów coraz bardziej się „schładzają”. A rolę rodziny trudno przecenić.

Nasz Zbawiciel, Jezus Chrystus, przychodząc na świat właśnie w rodzinie ludzkiej ukazuje nieprzemijającą wartość rodziny i jej zadania w kształtowaniu właściwych postaw każdego człowieka. Jest to wzór rodziny żyjącej ofiarną miłością, której nic nie zastąpi. Serca matki i ojca przepiętne miłością rodzicielską można porównać do źródła, z którego nieustannie wypływa woda dająca życie. Rodzina była, jest i będzie źródłem dającym życie zarówno w aspekcie prokreacji, jak i właściwych relacji międzyludzkich.

Dzisiaj, kiedy wielu próbuje manipulować przy tej „świętej instytucji” twierdząc, że ma lepsze modele i wzorce życia rodzinnego, należy zadać pytanie — czy wszystko trzeba zmieniać, czy wolno to czynić, czy wreszcie rewolucjonizowanie tej strony ludzkiej egzystencji nie doprowadzi do jej totalnej degradacji? Taka wizja jest bardzo prawdopodobna. Zatem nasze rozważania, spowodowane troską o właściwe oblicze rodziny, są jak najbar-



(Fot. z arch. redakcji 2001 r.)

dziej na czasie i wręcz niezbędne.

W znamienitej większości urodziliśmy się w rodzinach, gdzie miłość i szacunek były i są wyznacznikiem ich działania. W atmosferze miłości rodzinnej wzrastaliśmy. To już wystarczający powód, aby brać odpowiedzialność za rodzinę i wypracowywać właściwe warunki funkcjonowania i rozwoju tej rodziny w przyszłości. Ten nakaz dotyczy każdego: wierzącego i niewierzącego, młodzieńca i starca. Nas, wierzących — rzecz można — dotyczy podwójnie, bowiem jest nie tylko przejawem dobrej woli i zgodnego współżycia rodziny, ale także nakazem ze strony Boga — Stwórcy.

Interesująco i wyczerpująco ujmując ten problem św. Paweł Apostoł w Liście do Kolosan. „Przeto przyobleczcie się jako wybrańcy Boży, święci i umiłowani, w serdeczne współczucie, w dobroć, pokorę, łagodność i cierpliwość znosząc jedni drugich i przebacząc sobie nawzajem, jeśli kto ma powód do skargi przeciw komu; jak Chrystus odpuścił wam, tak i wy. A ponad to wszystko przyobleczcie się w miłość, która jest więzią doskonałości” (Kol 3, 12-14).

Wprawdzie te wersety nie odnoszą się bezpośrednio do życia rodzinnego, to jednak rodzina, dom rodzinny są tym miejscem, gdzie najdoskonalej i najpełniej możemy zrealizować zalecenie Apostoła. W myśl głoszonej przez niego nauki to nie przelotne uczucie jest istotą więzi rodzinnych, ale wzajemne poświęcenie i oddanie się sobie. Mówiąc prościej — codzienne,

cierpliwe i wspólne podejmowanie trudów jakie niesie życie w imię dobra tej wspólnoty, jaką jest rodzina. Człowiek od pokoleń stara się wypracować najlepsze formy życia rodzinnego, z różnym skutkiem. Czasy, w których żyjemy wykazują, że wiele spraw w tej przestrzeni nam się nie udało, a z licznymi nie potrafimy sobie poradzić.

Mędrzec starotestamentowy Syrach mówi: „Kto czci ojca, uzyskuje odpuszczenie grzechów, a kto szanuje matkę, jakby skarby zgromadził” (Syr. 3, 3-4). Tak więc opieka i miłość okazana rodzicom jest wynagradzana już teraz przez błogosławieństwo, dobre życie — argumentuje mędrzec.

Wrażliwa, czuła, wyrozumiała matka; pełen poświęcenia, troskliwy, odpowiedzialny i kochający ojciec, wychowane na tych wzorcach kochające dzieci to Boży obraz rodzi-

ny, której wzorcem jest Rodzina Nazaretańska. Czerpmy z tych Bożych mądrości i umacniajmy nasze rodziny, abyśmy umieli zachować dla przyszłych pokoleń te wartości, których poza rodziną nie znajdziemy.

W naszej parafii katedralnej pw. Św. Ducha rok 2005 przeżywamy jako rok wdzięczności wobec Pana Boga za nasze rodziny, otaczając je szczególną intencją modlitewną. Za przyczyną Maryi Bożej Rodzicielki i wstawiennictwem św. Józefa — Opiekuna modlimy się o miłość i zgodę w każdej rodzinie. Zapraszamy do tej modlitwy wszystkich, dziękując jednocześnie Waszym Rodzinom za każde dobro, które wniesiecie do wspólnoty parafii i Kościoła. Niech każda rodzina obfituje w ducha wiary, miłości i odpowiedzialności.

Ks. Henryk Dąbrowski

Tradycje w polskiej rodzinie

Prezentujemy dziś opisy zwyczajów praktykowanych w rodzinach warszawskich, a związanych z doniosłym momentem urodzenia się dziecka. Relacje dotyczą minionego wieku, aż do lat nam współczesnych.

Narodziny dziecka — święto w rodzinie

Urodzenie się dziecka to ogromny zwrot w całym domowym porządku — w zachowaniu młodych rodziców, dziadków, jednym słowem całej najbliższej rodziny. Poprzedzony jest długim okresem oczekiwania, przygotowań, niepewności. W przeciwieństwie do świąt tzw. „ogólnych”, jest to uroczystość — święto — wyłącznie rodzinne. Wówczas to chwile napięcia, zdenerwowania przeistaczają się w radość, zadowolenie i ulgę. Wiele informacji dotyczących takich właśnie chwil niosą przytoczone poniżej wypowiedzi młodych ludzi. Postępujmy zatem...

„Rozpoczynając od pokolenia mojej babci (ze strony mamy), muszę stwierdzić, że moment narodzin dziecka i jego chrzest w rodzinie babci przebiegał zupełnie inaczej, niż w mojej obecnej rodzinie. Moja babcia pochodziła ze wsi i była najstarszym dzieckiem w swojej rodzinie, dlatego też pamięta prawie wszystkie narodziny swojego rodzeństwa. Dzieci rodziły się wtedy bardzo często. Prababcia rodziła wszystkie swe dzieci we własnym domu, w obecności akuszerki. Gdy tylko prababcia dobrze się czuła po porodzie, natychmiast

decydowano się na chrzest. Ten pośpiech spowodowany był dużą śmiertelnością nowo narodzonych



dzieci, a nie można było dopuścić, aby dziecko umarło w grzechu pierworodnym — bez chrztu. Chrzestnymi babci był najbliższy sąsiad i siostra prababci.

W dniu chrzcin prababcia ubierała niemowlę w czyste kaftaniki (kolor zależał od płci dziecka: dziewczynkę ubierano w niebieski kolor, chłopca w różowy), i w beciku rodzice chrzestni nieśli je do miejscowego kościoła. Gdy dzieckiem była dziewczynka — becik niosła kobieta, gdy chłopiec — mężczyzna. Dzień przed chrztem prababcia była z niemowlęciem w kościele, aby dokonać „wyvodu”, tzn. otrzymać błogosławieństwo dla siebie i maleństwa oraz podziękować Bogu za szczęśliwe rozwiązanie.

cd. na str. 10

rodzina 9

cd. ze str. 9

Po ochrzczeniu dziecka, powracano do domu. Nakrywano stół i zaproszeni goście — tzn. rodzice chrzestni, dalsza rodzina i znajomi — zasiadali do stołu. Jednakże przyjęcie takie było robione jedynie w przypadku narodzin i chrztu pierwszego dziecka. Ceremoniał ochrzczenia rodzeństwa babci traktowany był już skromniej, ograniczając się jedynie do chrztu w ko-



ściele, a potem przechodzono do porządku dnia codziennego. Najczęściej chrztu dokonywano w dzień świąteczny, np. w niedzielę. Imiona babci i jej rodzeństwa rodzice dobierali z imion, które nosili święci, np. Genowefa, Jadwiga, Zofia, Antoni, Franciszek itp. Każde z dzieci nosiło dwa imiona, tzn. miało dwóch patronów.

Moja mama urodziła się, nie jak babcia w domu, ale w warszawskim szpitalu. Była drugim dzieckiem, po wujku. Na jej urodziny najbardziej czekał dziadek, który koniecznie chciał mieć córkę. Poród przeżywał bardziej, niż babcia (tzn. psychicznie). A po wiadomości o narodzinach dziewczynki, nie posiadał się z radości, obsypując babcie kwiatami. Po kilku dniach, gdy babcia czuła się już dobrze, dziadek zwolnił się z pracy i dorożką przyjechał pod szpital, aby zabrać żonę z maleństwem. Mama urodziła się w listopadzie, a więc rodzice jej zdecydowali się czekać z chrztem do świąt Bożego Narodzenia. Rodzicami chrzestnymi mojej mamy byli przedstawiciele rodzin, każdej ze stron. Po ceremonii chrztu babcia zorganizowała małe przyjęcie dla najbliższej rodziny, tzn. dla chrzestnych, braci i sióstr i ich rodzin. Obowiązkowo wcześniej babcia była z

dzieckiem w kościele, aby dokonać „wyvodu”, podobnie jak to robiła prababcia.

Moja siostra urodziła się w domu, a brat — w szpitalu. Ja również w domu. Te domowe porody, to była pewna asekuracja mamy, przed ewentualną zamianą dzieci. Pojawienie się na świecie mojej siostry było wydarzeniem szczególnym. Była pierwszym dzieckiem w rodzinie. Rodzice pobrali się z miłości. Jej chrzestnymi rodzicami zostali: siostra ojca i krewny mamy — cioteczny brat. Cała ceremonia chrztu i przyjęcia powtórzyła się jak poprzednio. Rzeczą ciekawą i inną, niż w opisywanych przypadkach, było to, że po urodzeniu siostry mama dostała od ojca piękny prezent, nie mówiąc już o wspaniałych kwiatach. Był nim śliczny pierścionek, który mama nosi do dziś. Ja urodziłam się również w domu, w obecności położnej, tak jak moja siostra. Było to w lutym, więc chrzest nastąpił dopiero na Wielkanoc. O moim imieniu zdecydował wujek, autorytet rodziny. Moja siostra otrzymała na chrzcie imię Elżbieta, brat — Jerzy, a ja — Wanda, choć nie było odpowiednika w imionach świętych, więc ochrzczone mnie: Halina, Mona”.

* * *

„Urodzenie się dziecka jest na ogół największym świętem i radością dla samych rodziców. Oczywiście, do młodych rodziców przychodzą zawsze ich rodzice, aby obejrzeć swoje wnuki. Dalsza część rodziny składa życzenia, a po przyjeździe do domu przynosi dla dziecka jakieś drobniaczki (najczęściej są to ubranka) i kwiaty dla młodej mamy. Wiadomość o narodzeniu się dziecka w rodzinie przynosi się bardzo szybko i cieszy wszystkie najbliższe osoby, a dla samych rodziców stwarza nastrój pełen szczęścia i radości.

W Poznaniu — odwrotnie do zwyczaju panującego w Warszawie — chłopca podaje się do chrztu

w niebieskich barwach, a dziewczynkę w różowych”.

* * *

„Za czasów mojej babci istniały pewne zwyczaje, związane jeszcze nie z chrzcinami, a z samym narodzeniem się dziecka. Wierzono, że przedmiot, który dziecko jako pierwszy weźmie do rączki, wróży mu przyszłość, np. różaniec — wstąpienie do zakonu, książka — naukę, mądrość itp. Matki próbowały również nadać swemu dziecku pewne dodatnie cechy przez sadzenie na różnych przedmiotach, czy sprzętach. Tak np. posadzenie dziecka na pianinie miało dawać mu słuch muzyczny, posadzenie na książce — mądrość... itd. Matka, po urodzeniu dziecka, szła do kościoła, do tzw. wyvodu. Udawała się z dzieckiem do zakrystii i tam modliła się w czasie mszy św. Gdy msza kończyła się, podchodził ksiądz do niej i kreślił nad głową dziecka krzyż. Następnie prowadził matkę przed ołtarz do Komunii św. Chrzciny dziecka w kościele winny odbywać się jak najprędzej po urodzeniu. W wypadku, gdy dziecko było chore, rodzice mogli ochrzcić je sami, w domu.

Dawniej, do poduszki dziecka wkładano drobne symboliczne przedmioty: pióro, różaniec, zeszyt, pieniądze. O ich znaczeniu było już wspomniane. Wierzono też, że na dziecko przechodzi charakter jego chrzestnych rodziców. Na rodziców chrzestnych najczęściej wybierano rodzinę, ludzi, do których ma się zaufanie i pewność, że w szczególnych tragicznych sytuacjach zaopiekują się dzieckiem, zastępując mu rodziców. Chrzciny odbywały się oczywiście w kościele. Dziecko było bardzo starannie



ubrane na biało, z dodatkiem kolorowych wstążeczek — różowych dla chłopca i niebieskich dla dziewczynki. Po ceremonii zaproszeni goście udawali się na przyjęcie do domu. Dawniej był i dziś istnieje zwyczaj dawania prezentów dla dziecka. Babcia wspomina, że w jej czasach był to najczęściej medalik lub ryngraf. Obowiązkowo na lewą rączkę zakładano dziecku czerwoną wstążeczkę, aby chronić „od uroku”. Jeśli nie zakładano jej na rączkę, to zawiązywano na łóżeczku dziecka. Rodzice chrzestni kładli również pieniądze w formie prezentu w poduszkę, w której chrzczone było dziecko. Obecnie prezentami dla dziecka są najczęściej ubranka itp. Chrzcziny miały szczególną oprawę i trwały właściwie dwa dni. Przyjęcie przygotowywali rodzice dziecka”.

* * *

„Urodzeń jest tak mało w moim pokoleniu, że trudno pisać o jakimkolwiek zwyczaju, związanym z tym wydarzeniem. Jeszcze w pokoleniu mojej matki rozsyłało się zawiadomienia o tym radosnym fakcie i przyjmowało życzenia i gratulacje. Moja mama, kiedy ja się urodziłam, dostała od swego męża kosztowny prezent. Dziś jest inaczej.

Odebrano nam poezję, w którą poprzednie pokolenia starały się ubrać fakt przyjścia na świat człowieka. Kobiety rodziły w domu. Zaraz po porodzie przyoblekano je w śliczną bieliznę, myto, czesano. Pokazywała mężowi dziecko w ramce jak z obrazka. I tak było na pewno bardzo dobrze.

Ja urodziłam wymarzone dziecko w szpitalu — jak wszystkie kobiety — animowo. Krzyczano na mnie, że histeryzuję, że płaczę. Samotna, wylękniona, oderwana od domu walczyłam, by traktowano mnie jak człowieka. Modne ostatnio i lansowane ojcostwo zaangażowane (poród w obecności ojca), które ma tak samo zwolenników, jak i przeciwników, ma chyba ten największy walor, że chroni kobiety przed anonimowością, że przeciwdziała uczuciu opuszczenia w tak doniosłym momencie.

Odebrano nam więc możliwość pięknego rodzenia, czyniąc ten rodzinny, intymny fakt własnością publiczną. Pewien robotnik z Woli

zabierał się nawet do bicia lekarki, wielkiej zwolenniczki okresu błędów i wypaczeń, ponieważ oznajmiła mu, że dziecko nie należy do niego, lecz do Polski Ludowej”.

* * *

„Moja babcia opowiadała mi, że mój dziadek, po urodzeniu się syna cieszył się bardzo, ale dopiero po urodzeniu się córki (mojej mamy) był naprawdę szczęśliwy. Poród odbierała w domu położna, która obwieściła czekającemu w drugim pokoju dziadkowi, że ma córkę. Wtedy mój dziadek, oprócz normalnej, ustalonej zapłaty, dodał położnej złotą pięciorublówkę „za dziewczynkę”. Wiem też, że to właśnie mój dziadek cieszył się najbardziej z moich urodzin i gdy w rok po mnie urodził się mu wnuk, nie przeżywał już tak wielkich wzruszeń. Do końca życia byłam zresztą ulubienicą dziadka. Urodziłam się w domu, w obecności położnej. Mój ojciec był wtedy daleko od Warszawy. Zawiadomiono go listownie o tym, że ma córkę. Sądzę, że było to dla niego wielkie rozczarowanie, marzył bowiem o synu. W każdym razie przyjechał, aby mnie zobaczyć, dopiero po miesiącu i nie okazywał mi szczególnego zainteresowania, ani sympatii. Natomiast, kiedy urodził się mój syn (urodził się w szpitalu), a wiadomość o tym dotarła (przez opłaconą przeze mnie salową) do domu, tata otworzył butelkę koniaku, mama zrobiła kawę (była już 4 nad ranem). Już w dwie godziny później otrzymałam od ojca kwiaty (z karteczką „Dziękuję za wnuka”), a troszkę później kwiaty od męża i list od mamy. Co chwila przynoszono mi kwiaty i karteczki z gratulacjami. Przyjechał po mnie mąż i moja babcia (ze strony mamy). Pielęgniarka przyniosła dziecko, ubrała je, podała czekającemu mężowi, on zaniósł małego do taksówki i oddał babci. Moja babcia była pierwszą osobą, która kąpała, przewijała i opiekowała się moim synkiem. Nikt inny nie miał odwagi go dotknąć. Babcia też zawiązała na łóżku synka czerwoną wstążeczkę „od uroku”. W kilka dni później przyszli w odwiedziny moi wujkowie i moja chrzestna matka. Przyjechała też teściowa. Od teścia otrzymałam wtedy wachlarzyk jego matki (pierwszy wnuk) i sukienkę do chrztu, którą nosili jej syno-

wie i którą szyła i haftowała jego matka. Jeśli chodzi o upominki, to syn mój dostał od ojca chrzestnego książeczkę oszczędnościową z wkładem 1000 zł, a od matki chrzestnej — srebrny kubeczek z pieniążkiem, od moich rodziców — srebrną łyżeczkę, a od mojej babci (ze strony mamy) złoty medalik”.

* * *

„Za czasów mojej babci dzieci rodziły się w domu. W przyjściu ich na świat pomagała akuszerka, która każde dziecko badała, a jeśli było bardzo słabe — chrzczyła wodą. Chrzcziny właściwe odbywały się po kilku tygodniach. Ubranie i becik dla noworodka (różowy dla chłopca, niebieski dla dziewczynki) przygotowywała matka chrzestna. W dzień chrztu ona także ubierała dziecko — musiała przy tym pamiętać, żeby kaftanik założyć najpierw na prawą rączkę, co chroniło dziecko przed zostaniem mańkutem. Ojciec chrzestny kładł dziecku pod główkę (pod poduszkę, do becika) pieniądze, aby je zawsze miało. Po powrocie z kościoła rodzona matka odwijiała dziecko z becika, żeby w przyszłości szybko biegło. Potem odbywało się przyjęcie. Zaproszeni goście (krowi i sąsiedzi) przynosili prezenty w naturze (np. jajka, sery, mąkę itp.), żeby w przyszłości dziecko nigdy nie głodowało.

Moja mama urodziła nas w szpitalu; kiedy wracała do domu, ojciec przygotowywał wszystko na jej przyjęcie. Sprzątał mieszkanie, przygotowywał łóżko, jakiś elegancki posisek, na stole stawał zawsze bukiet kwiatów i upominek dla matki i dziecka. To powitanie odbywało się w gronie rodziny (tzn. babcia, rodzice i kolejne dzieci)”.

* * *

„Zastanawiające jest dla mnie to, że w zasadzie we współczesnej rodzinie nie ma teraz żadnych zwyczajów (albo jest ich bardzo mało i zanikają) związanych z na-



rodzinami dziecka. Pytałam o to rodziców. Twierdzą, że po narodzinach, dziecko przekazuje się symbolicznie ojcu. Podobnie jest z pierwszym przekroczeniem progu domu przez dziecko właśnie na rękach ojca. Tata pamięta, że w jego rodzinie istniało coś takiego, jak zawiązywanie czerwonej wstążeczki na lewej ręczce dziecka, by je uchronić od uroków.

Matka chrzestna przynosiła dziecku białą koszulkę, w którą ubierano niemowlę. Ojciec chrzestny przynosił świecę-gromnicę. Był to symbol wiary chrześcijańskiej, którą dziecko miało przyjąć w momencie chrztu. Dawniej, po chrzcinach, prezent od ojca chrzestnego musiał być bardziej okazały niż od matki chrzestnej. Chrzestny kupował zwykle złoty medalik ze złotym łańcuszkiem. Prezenty kładziono pod poduszkę dziecka (mogły to być po prostu pieniądze). Było też dawniej w zwyczaju, że dziecko powinno otrzymać coś ze srebra od rodziców chrzestnych”.

* * *

„Kiedyś panował zwyczaj, że na chrzestnych bierze się kogoś z rodziny, a ostatnio wprowadza się nowy zwyczaj, że chrzestnymi mogą być również znajomi. Chrzestna ubiera dziecko do chrztu, to znaczy kupuje wszystko, w czym dziecko podaje się do chrztu, łącznie z kapką. Chrzestna też wkłada pieniążki do becika. Natomiast chrzestny kupuje złoty medalik. Do niedawna było zwyczajem w naszej rodzinie, że chłopczyka niesie do chrztu chrzestna, a dziewczynkę — chrzestny. Teraz jest odwrotnie. Kiedyś w naszej rodzinie nadawano dziecku imię kogoś ze starszych, np. babci, dziadka. Teraz jest dowolność w wyborze imienia. Powstała tzw. „moda” na imiona, do której raczej wszyscy próbują się dostosować, choć nie zawsze”.

„Wielką rolę, jaką przypisywano rodzinie w ówczesnym życiu obyczajowym Polski XVII-XVIII-wiecznej, powodowała, że wszelkie uroczystości i obrzędy rodzinne stanowiły nader ważne momenty dla kręgu ludzi związanych ze sobą więzami krwi, jak również dla ich przyjaciół i znajomych. Wydaje się, iż w żadnym chyba innym okresie dziejowym uroczystości te nie odgrywały tak ważnej i złożonej roli. Rozpocznę ją urodziny dziecka” — podkreśla Zbigniew Kuchowicz w swej książce pt. „Obyczaje staropolskie”.

Z przyjściem na świat dziecka łączyło się w tamtych czasach wiele jeszcze przedchrześcijańskich zwyczajów. Odosobniano więc na pewien czas położnicę, po połogu dokonywano tzw. „wywodu”, to jest jej oczyszczenia, ponadto poddawano ją praktykom, mającym na celu odpędzenie złych

stosowana była wobec niewiast, zarówno zamożnych, jak i ubogich. Zwyczaj obdarowywania istniał również wśród mieszczan i szlachty, z tym tylko, że ludzie bogaci obdarzali się bardziej kosztownymi prezentami. Zwyczaje te przybierały niekiedy nawet przesadne formy, położnicę odwiedzały czę-

Jak to przed wiekami bywało

Urodziny dziecka w

duchów i zapewnienie zdrowia i szczęścia niemowlęciu. Dziecko przenoszono więc przez okno, dla niepoznaki przebierano, wodę z pierwszej kąpieli wylewano dopiero po upływie trzech dni po zachodzie słońca itd. Praktyk tych stosowano wiele. Choć w różnych częściach kraju panowały odmienne zwyczaje, w całej Polsce rodziny dziecka łączyły się ze stosowaniem różnych guseł, i to wśród wszystkich grup społecznych, najczęściej jednak stosowano ich po wsiach i w małych miasteczkach.

Oczywiście, Kościół starał się zaadaptować te praktyki, nadając im odpowiedni wydźwięk, często więc łączył je z obrzędem chrztu św. Zalecano np. rodzicom, by dzieci chrzcili następnego dnia po porodzie, co często pociągało za sobą wypadki przeziębienia, a nawet zgonów, albo też obchodzono ołtarz z niemowlęciem i stosowano uroczyste przechodzenie progu itp.

Nowo narodzone dziecko żywo interesowało krewnych i przyjaciół rodziców, a w środowisku wiejskim i małomiasteczkowym budziło zainteresowanie niemal wszystkich mieszkańców. Uważano wręcz za obowiązek okazanie pomocy matce maleństwa. Istniał więc **zwyczaj obdarowywania położnicy przez sąsiadów, krewnych i znajomych**. Ponieważ matka nowo narodzonego dziecka nie była w stanie zająć się gospodarstwem, dostarczano jej wiktuałów. Po wsiach każdy dawał według swojej możliwości. Znoszono chleb, jajka, ser, masło itp. Ta wzajemna pomoc

sto tłumy znajomych, stąd też wydawano i sporo na wystawne poczęstunki. Magistraty niektórych miast starały się ograniczać te przyjęcia. Na przykład w Gdańsku wydano w pierwszej połowie XVIII wieku odpowiedni regulamin, który szczegółowo określał ramy składanych wizyt. Zwyczaj wymagał, by obdarowywać matkę nie tylko prezentami, ale także obsypywać ją komplementami.

Wspaniałą, uświęconą wręcz okazją do zabawy stanowiły chrzciny. Każda rodzina starała się, by wypadły one jak najokazalej. Na wsi chrzciny stawały się istnym pasmem obżarstwa i opilstwa, zdarzało się nieraz, iż nawet rujnowały biedniejszych gospodarzy. Feudaltowie wydawali w stosunku do ludności plebejskiej odpowiednio rozporządzenia, które miały na celu ograniczenie liczby gości, zabronienie zbyt dużej ilości potraw. Podobne zalecenia wydawały także niektóre magistraty. Zakazy te pozostawały jednak tylko na papierze. Jeśli uroczystości rodzinne ludności plebejskiej ograniczano wspomnianymi przepisami, szlachcie nie zabraniał nikt obchodzić ich z największą wystawnością. Także w **rodzinach magnackich przyjęcie na świat potomka, szczególnie pierwszego syna, łączono z wielkimi uroczystościami: urządzało turnieje, walki byków, festyny, wydawano bale, bankiety, bito z dziań i moździerzy, wznoszono toasty za pomyślność nowego dziecka, za zdrowie rodziców, kuzynów, plebanów, za krewniaków i powinowatych**.

Wielką wagę przywiązywano do doboru odpowiednich rodziców

chrzestnych. Istniało bowiem mniemanie, że dziecko będzie dziedziczyło cechy swych rodziców chrzestnych, uważano więc, że jego przyszłość zależy w dużej mierze od ich zachowania się; zwracano także uwagę na zachowanie się księdza. Kumów dobierano w rozmaity sposób. Najczęściej przyszo w kumy krewnych lub przyjaciół, oczywiście ludzi ze swojego środowiska. Mieszczanie prosili często w kumy ludzi zajmujących pewną pozycję społeczną; rzemieślnicy, np. oglądali się za rajcami i ławnikami, ewentualnie mistrzami. Bywało zresztą różnie. Wiadomo np., że w pewnych przypadkach bogata szlachta, a nawet

Tomasz u Zamoyskich, Rafał u Leszczyńskich, Stanisław u Kostków. Prócz tradycji rodzinnej na wybór imienia wywierał wpływ również kult świętych. Znaczny wpływ miały i zakony, które propagowały swoich patronów zarówno wśród szlachty, jak i plebejuszy. Wraz z rozwojem zakonu jezuitów coraz częściej spotykało się np. imię Ignacy, Franciszek, Ksawery; franciszkanie propagowali imię Antoniego i Franciszka, pijarzy — Kalasantego, teatyni — Kajetana. Na nadawanie imienia wywierała też wpływ aktualnie panująca moda, np. można zaobserwować w pewnych okresach popularność imion królów lub sławnych ludzi. W XVII

nawet oryginalne, spotykało się m.in. takie jak: Ryczeza, Brygida, Anastazja, Scholastyka, Dionizy, Melchior, Polikarp. W tym czasie miasto gustowało w Konstancjach, Monikach, Salomeach. Ponieważ moda na imiona ulegała zmianom, więc w żadnym przypadku nie można łączyć ich z mechanicznym nadawaniem według kalenda-

Polsce XVII-XVIII wieku

magnaci zapraszali na rodziców chrzestnych mieszczan lub chłopów — możliwe, że w ten sposób starano się przyciągnąć do siebie zamożniejsze jednostki plebejskiego pochodzenia.

Powszechnie praktykowano dawny zwyczaj, że w przypadku, jeśli dzieci się nie chowały, rodzice prosili w kumy żebraków, wierzone bowiem, że zapewni to szczęście niemowlęciu. Przypadki zapraszania na chrzestnych nędzarzy spotykało się nawet po wielkopańskich dworach.

Wśród mieszczan i chłopów istniał zwyczaj, że dziecku dawano takie imię, jakie sobie „przyniosło”, tzn. takie, jakie w dniu jego narodzin figurowało w kalendarzu (pomijano jedynie imiona mniej znane). Na nadawanie imienia znaczny wpływ wywierał również ksiądz, który czasem dawał takie, jakie uważał za stosowne, nieraz wbrew woli rodziców. W pewnych okolicach istniał zwyczaj, iż nadawano dziecku imię ojca, dziadka lub jednego z bliskich krewnych. Niektóre tradycje były czasem tak silne, że księża godzili się z nimi i nadawali imię takie, jakie upodobała sobie rodzina; np. wśród zamożnych chłopów podhalańskich Tylków powtarzały się stale imiona: Wojciech, Maciej, Jan. Jeśli chodzi o szlachtę, to na ogół niechętnie nadawano imię takie, jakie dziecko sobie „przyniosło”. W grę wchodziły imiona mające związek z tradycją rodu lub też z osobistymi upodobaniami. Toteż w niektórych rodzinach szlacheckich powtarzały się ciągle te same imiona, np.

wieku często spotykało się np. Zygmuntów, Władysławów, Janów, Kazimierzów. Bardzo chętnie nadawano też takie imiona, jak: Andrzej, Wojciech, Józef. Wielką popularnością cieszyło się nadal imię Stanisław. Imiona pochodzenia słowiańskiego, np. Zbigniew, Jarosław, Mirosław, Bronisław spotykało się w XVII wieku jeszcze dość często, później zaczęły zanikać. W XVII wieku popularne były również imiona pochodzące ze Starego Testamentu, np. Rachela, Eliasz, Daniel. Z biegiem lat przewagę zaczęły zdobywać imiona katolickie. Wyjątek stanowiło imię Maria. Przez długi czas nadawali je tylko innowiery, wśród katolików istniał bowiem przesąd, że jest to świętokradztwo i może pociągać za sobą nieszczęście. Począwszy jednak od XVIII wieku zaczęto stosować je częściej. Wydaje się jednak, że bardziej rozpowszechnione było imię pochodzą od Marii — Marianna.

Moda na imiona była w kołach plebejskich zmienna i zależna od okolicy kraju, np. w Żywieckiem spotykało się imiona rozmaite. Charakterystyczne, że pewnych imion używano tylko na wsi, innych zaś w mieście. Imiona, w których gustowała wieś wydają się być z dzisiejszego punktu widzenia



rza. Wszystko wskazuje na to, że decydujący wpływ na wybór imion wywierali księża, w niektórych okolicach liczyli się oni jednak wyraźnie z gustami ludności.

W związku z nadawaniem imion istniał szereg różnych zwyczajów, np. imię Adam i Ewa dawano zwykle bliźniakom. Zwyczaj ten występował na Podhalu w XVII wieku. Istniał też zwyczaj, nie spotykany już dzisiaj, że rodzeństwu nadawano te same imiona, np. wśród braci można było spotkać trzech Janów lub Stanisławów. Zwyczajowi temu hołdowali zarówno chłopci, jak i szlachta. W ten sposób starano się zapewnić rodzinie szczególną opiekę jakiegoś świętego. Jeśli np. pierwszy syn Jan chował się dobrze, a drugi nazwany np. Markiem wkrótce zmarł, to rodzice następnemu dziecku nadawali znów imię Jan, wierząc, że w ten sposób zapewnią sobie łaskę odpowiedniego świętego.



Z życia naszych parafii

W parafii poznańskiej nasz najstarszy parafianin Marian Sroka obchodził swoje 90. urodziny. Z tej to okazji ofiarował parafii złoty kielich mszalny z pateną.

Jubilatowi życzymy jeszcze długich lat życia i dziękujemy za wspólny dar.

Ks. inf. Roman Skrzypczak

W obiektywie fotoreportera

Przed nami maj i Pierwsza Komunia św.

Uroczystość Pierwszej Komunii św. — spotkanie z Panem Jezusem — pozostaje w pamięci przez całe życie. Jest to białe święto — święto czystości duchowej, radości i niezwykłych wrażeń, jakie towarzyszą dzieciom przystępującym po raz pierwszy do Stołu Pańskiego. Na zdjęciu — pamiątkowa fotografia grupy dzieci (parafia Okół) z minionych lat.



Matka Boska — śnieżna

Marzec br. nie rozpieszczał nas wiosenną pogodą. Choć słońce było już dość wysoko, to jednak aura bardziej przypominała pełnię zimy niż wiosnę. Śnieg sypał nieustannie, co przyprawiało o ból głowy wszystkich „drogowców”, lecz, niewątpliwie, stanowiło niezwykle piękną scenerię zwłaszcza dla figur stojących na zewnątrz świątyń, otoczonych wiecznie zielonymi krzewami.

Ośnieżona zieleń i śnieżnobiała figura Najświętszej Maryi Panny pięknie wyglądały na tle ceglanych murów kościoła — tak, jak to widać na naszym zdjęciu z parafii w Żaganianiu — aż chciało by się rzec, że to figura Matki Boskiej śnieżnej.

Naszym najmłodszym Czytelnikom

Nie zapomnijcie o Dniu Matki

26 maja obchodzony jest piękny dzień — Dzień Matki. Choć to święto przypada w następnym miesiącu, to jednak już dzisiaj przypominamy o nim wszystkim dzieciom, aby każde dziecko miało czas na to, by się zastanowić, co — oprócz kwiatków — mogłoby sprezentować swojej Mamie. Podpowiadamy: może to być laurka, nie tylko z samymi życzeniami, ale i opisem naszej Mamy — jaka Ona jest, za co Ją kochamy, co nam się kojarzy ze słowem „mama” itd. Zastanówcie się i spróbujcie sami coś napisać od siebie — coś wyjątkowego — swojej Mamie w Dniu Jej święta. Zobaczycie, jak się bardzo ucieszy!



A może ten wiersz podsunie Wam jakąś koncepcję. Przeczytajcie:

*Pachniesz mi zawsze
ciepłym słodkim mleczkiem.
A w dniach dziecińczych
każde Twoje słowo
było mi słońcem
było mi śpiewem.*

*Zanurzona w miękkość
pałam się istnieniem
piłam Twoją ciszę.
Twojego serca bicie
było moim życiem
i światłem sumienia.*

Teilhardyzm — nowa wizja świata

W bieżącym roku, a dokładnie w dniu 10 kwietnia, mija 50 lat od śmierci Piotra Teilharda de Chardin — jednego z najgłośniejszych pisarzy filozoficznych, francuskiego jezuity, teologa i paleontologa.

Urodził się on w 1881 r. w zamku de Sarceat pod Clermon-Ferrand. Do kolegium jezuitów wstąpił w 1892 r., a w r. 1899 — do nowicjatu tego zakonu. Studiował filozofię i teologię, a także chemię, fizykę, geologię i paleontologię. W 1905 r. otrzymał święcenia w Hastings i ukończył jednocześnie pierwsze swe badania geologiczne na wyspach anglo-normandzkich. W latach 1905-1908 wykładał w Kairze i prowadził badania geologiczne. Jak potem napisał, było to pierwsze zetknięcie się twarzą w twarz z ziemią, która wydała mu się tam bardziej bujna, żywiołowa i tajemnicza od tej, którą znał w ojczystym kraju. Po kilku latach wrócił do studiów teologicznych. W latach 1914-1919 był żołnierzem (sanitariuszem) armii francuskiej, walczącym pod Verdun, nad Marną i na innych polach bitew. W latach 1920-1923 wykładał filozofię w Instytucie Katolickim w Paryżu.

Prawdziwym przełomem w jego życiu okazał się wyjazd do Chin, gdzie brał udział w pracach wykopaliskowych poświęconych poszukiwaniu antropoidów. Okazał się tu wybitnym geologiem i paleontologiem. Pracował przeszło 23 lata (z przerwami) na terenie Azji, Afryki, Europy, zyskując sławę współodkrywcy „człowieka pekńskiego”. Współpracował też z wieloma instytucjami naukowymi, m.in. z Ośrodkiem Badań Antropologicznych w Nowym Jorku.

Sława wybitnego naukowca nie zjednała mu jednak przychylności oficjalnych czynników kościelnych, jego publikacje budziły zasadnicze zastrzeżenia. W roku 1926 generał jezuitów spowodował usunięcie go z Instytutu Katolickiego w Paryżu. Rok później Rzym nie wydał zgody na druk jego książki „Le milieu divin”, a w 1933 roku otrzymał zakaz wykonywania jakichkolwiek funkcji w Paryżu. Podstawowe dzieło Teilharda de Chardin: „Le phenomene humain” (pisane w latach 1930-1938)

zostało odrzucone przez watykańską cenzurę. W roku 1947 zasugerowano nawet konieczność zaprzestania przez niego publikacji filozoficznych. Kiedy w roku 1948 otrzymał propozycję objęcia katedry w College de France, musiał odmówić, z uwagi na sprzeciw władz kościelnych. W roku 1950 cenzura watykańska odrzuciła następną jego pracę „Le groupe zoologique humain” (przekład polski: „Człowiek”). Władze kościelne uniemożliwiły Teilhardowi wzięcie udziału w Międzynarodowym Kongresie Paleontologów.

Po śmierci Piotra Teilharda de Chardin wszystkie jego publikacje, które ukazały się wbrew opinii kościelnej cenzury, zostały wycofane z bibliotek seminariów duchownych i instytutów religijnych. Kongregacja Świętego Oficjum ogłosiła 30 czerwca 1962 r. „monitum” ostrzegające przed wieloznacznościami i błędami teilhardyzmu, które „narażają na szwank doktrynę katolicką”.

Należy podkreślić, że — pomimo represji — Teilhard de Chardin nie przerywał ani na chwilę pracy w dziedzinie filozofii i teologii, a jego przyjaciele publikowali — często w postaci powielonej — wyniki jego prac. Mimo nacisków nie odwołał też ani jednego zdania ze swych publikacji, broniąc się przez wiele lat wobec zarzutów ze strony władz zakonu jezuitów. Jego przyjaciel i powiernik jezuita Pierre Leroy tak scharakteryzował Teilharda: „Miał świadomość, że musi mówić, że musi przekazywać innym owoce swego osobistego doświadczenia. Gdyby nie pisał — byłaby to zdrada”.

W prywatnym liście do generała jezuitów z roku 1951 napisał: „Trzeba brać mnie takim, jaki jestem, z moją wrodzoną właściwością (czy też słabością), która sprawia, że od dzieciństwa w moim życiu nie przestało nigdy dominować poczucie organicznej rzeczywistości świata... W świadomości tej dynamiki i syntezy wszystkich Rzeczy „In Christo Jezus” znalazłem zdumiewające, niewyczerpane źródło światła i siły i atmosferę, bez której nie potrafię już oddychać, wielbić, wierzyć... Postawiwszy jasno sprawę mej po-

stawy wewnętrznej, pragnę z kolei podkreślić z całym naciskiem, że — jakkolwiek mógłby być jej wpływ na inne osoby — dla mnie osobiście niewątpliwy jest fakt, że właśnie dzięki mojemu sposobowi myślenia czuję się dziś bardziej nierozeralnie związany z hierarchicznym Kościołem i Chrystusem Ewangelii niż kiedykolwiek w życiu... Jestem — wbrew pewnym pozorom — zdecydowany pozostać posłusznym synem. Nie mogę, oczywiście, nie ryzykując wewnętrznej katastrofy, sprzeniewierzyć się najbardziej ukochanemu powołaniu i zaprzestać własnych poszukiwań. Od szeregu miesięcy nie zajmowałem się już jednak rozgłaszaniem, lecz raczej pogłębianiem moich koncepcji”.

„Mówi się wiele o skrajnym optymizmie o Teilharda. To prawda: był on optymistą, gdy chodziło o nadanie sensu Wszechświata wbrew pewnym objawom zła. W tym, co dotyczyło codziennego życia, Teilhard wcale nie był optymistą. Znosił cierpliwie doświadczenie, które zdolne było zamknąć nawet najsilniejsze serce. Ileż razy w naszych bezpośrednich, serdecznych rozmowach zdawaliśmy się sobie pobici. Cierpiąc już od 1939 r. na ataki łęku, które miały się nasilić kilka lat później, dochodziło do stanów całkowitej utraty odwagi: ataki łez powalały go na ziemię. Można było sądzić, że padł ofiarą rozpacz”.

Wkrótce po śmierci Piotra Teilharda de Chardin (zmarł w USA) powstał komitet naukowy, w skład którego weszli wybitni przedstawiciele świata nauki (również rzymskokatolicy), który zajął się wydaniem kolejno wszystkich jego prac. „Spór o Teilharda” zaczął się gwałtownie rozszerzać. Obecnie nie ma we Francji wydawnictwa, ani periodyku, który nie publikowałby różnorodnych materiałów, opracowań i artykułów dotyczących tego uczonego. Podobnie jest w USA, Belgii, Holandii, Angli, Niemczech.

Trudno się dziwić temu zainteresowaniu — narodziła się bowiem nowa wizja świata. Ogromna kariera teilhardyzmu, który rozprzestrzenił się po wszystkich krajach i kontynentach, związana jest z zaznaczeniem się różnorodnych autonomicznych tendencji w tonie ruchu teilhardowskiego. Nie można dziś mówić o jednym teilhardyzmie, szukającym swego miejsca w świecie myśli. Wielowątkowa filozofia pełna dwuznaczności, niejasności, śmiałych pomysłów, które działają na wyobraźnię, ma moc wielostronnej i giętkiej inspiracji.

Rok 2005 — Rokiem Andersena

Dania ogłosiła Rok 2005 — Rokiem Andersena dla uczczenia dwusetnej rocznicy urodzin autora najpopularniejszych baśni na świecie. Do tegorocznych obchodów włączają się kraje na wszystkich kontynentach.

Kalendarz trwających przez cały rok międzynarodowych obchodów obejmuje około 300 imprez w ponad 40 krajach. Największe wydarzenie koordynuje duńska Fundacja HCA 2005, której patronuje królowa Małgorzata.

Wstępem do jubileuszowych uroczystości było otwarcie w Nowym Jorku na początku lutego br. wystawy poświęconej Hansowi Christianowi Andersenowi przez duńskiego księcia Frederika. Książę spotkał się w Nowym Jorku z amerykańskim krytykiem Haroldem Bloomem, profesorem uniwersytetów w Yale i Harvardzie, autorem prac na temat mniej znanego Andersena. Bloom został laureatem tegorocznej nagrody im. Hansa Christiana Andersena. Odbierze ją na początku kwietnia w rodzinnym mieście pisarza Odense.

Stany włączają się do jubileuszu również nowym tłumaczeniem 30 baśni Andersena, wydawanym przez Penguin Books i przeglądem w nowojorskim MoMa ekranizacji utworów autora „Dziewczynki z zapawkami”. Także paryski Disneyland przyłączył się do obchodów, organizując dziecięcy karnawał z postaciami z baśni „Mała syrenka”, który potrwa do 13 marca.

Oficjalne obchody Roku Andersena rozpocznie długi baśniowy weekend od 1 do 3 kwietnia w Kopenhadze i Odense w Danii, z udziałem królewskiej rodziny. Andersen urodził się 2 kwietnia i ten dzień uświetni 120-minutowe show na piłkarskim stadionie Parken w Kopenhadze, zatytułowane, jak początek każdej prawdziwej baśni „Pewnego razu”, oparte na utworach i biografii Andersena. Weźmie w nim udział 300 artystów z różnych krajów. Tę krainę baśni współtworzy m.in. kompozytor Jean Michel Jarre. Widowisko będzie transmitowane przez wiele stacji telewizyjnych.

W sierpniu w Kopenhadze — na pływającej scenie zakotwiczonej

na dwóch barkach przed Biblioteką Królewską — zostanie wystawiony musical według „Małej syrenki”. Spektakl z nadbrzeża oglądać będzie 2,5 tys. osób. Rok Andersena uświetni też 10 międzynarodowych premier utworów symfonicznych według baśni Andersena.

W Polsce Rok Andersena zainauguruje 31 marca Duński Instytut

pokoleń. Baśnie uczyły rozpoznawania dobra od zła, wzruszały głębią uczuć, pokazywały niedolę ubogich, biednych ludzi, zwracały uwagę na krzywdę i niesprawiedliwość towarzyszące człowiekowi. To były — pod postacią baśni — ludzkie losy.

Cudowna kreska Jana Marcina Szancera potrafiła trafnie oddać głębię przeżyć bohaterów, pod-



Kultury razem z Biblioteką Narodową w Warszawie dwiema wystawami „Andersen — człowiek — pisarz” i „Andersen w Polsce”, prezentującej polskie wydania książek tego pisarza.

Któż z nas nie zna i nie wspomina z sentymentem pięknych baśni Andersena. Mamy przed oczami piękne grafiki Jana Marcina Szancera — cudownego ilustratora tych baśni. **Na baśniach Andersena i fenomenalnych ilustracjach Szancerowskich wychowało się wiele**

kreślić kostiumy z opisywanych epok i wruszyć czytelników przez niezwykle piękno warsztatu artysty. Sam Szancer był również pod wrażeniem baśniowego świata. Nic więc dziwnego, że nadał swym własnym dzieciom imiona zaczerpnięte z baśni: Jaś i Małgosia. Warto o tym pomyśleć oglądając wystawę prezentującą m.in. (a może głównie!) ilustracje Jana Marcina Szancera do baśni Hansa Christiana Andersena.